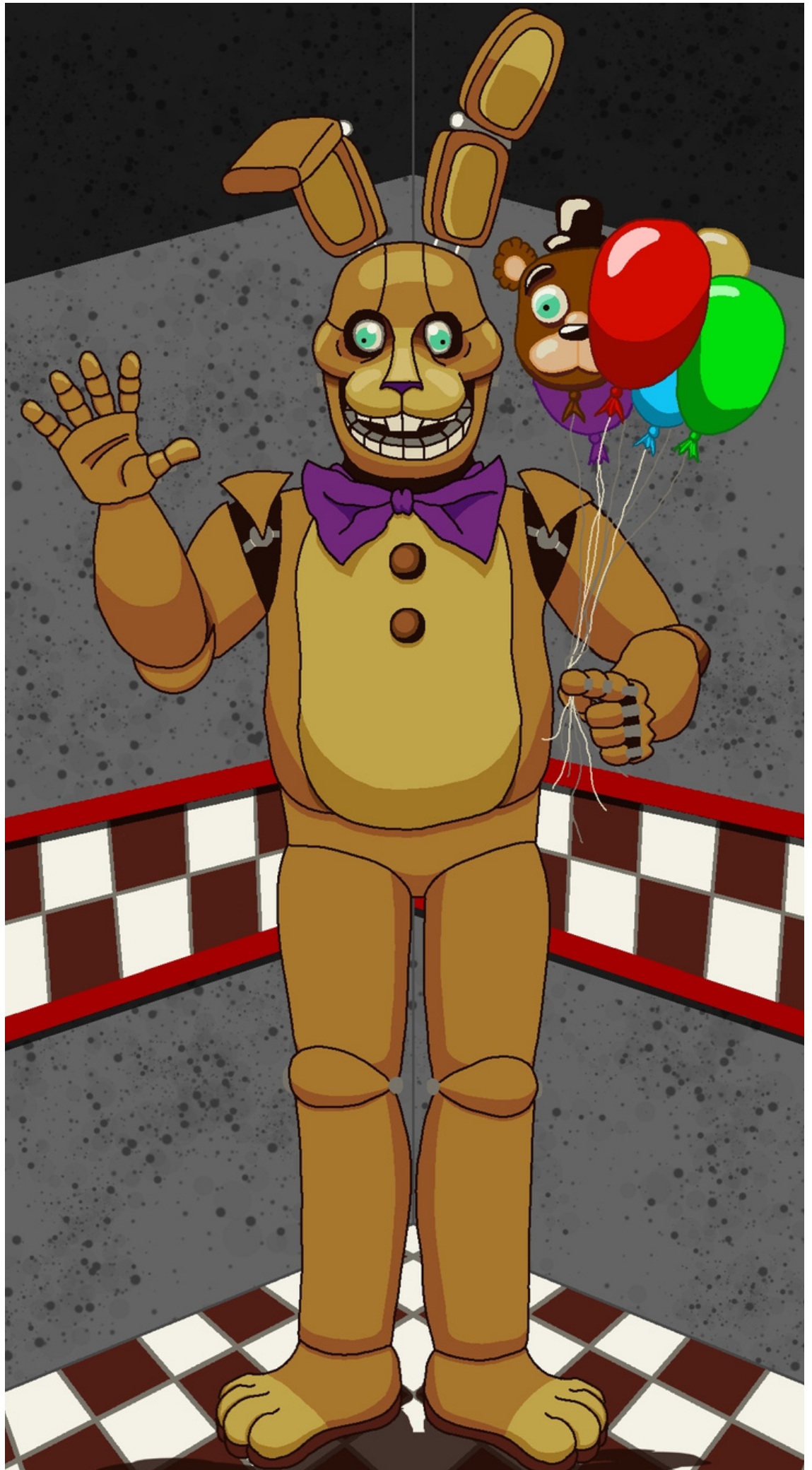


# PO DRUGIEJ STRONIE OKŁADKI

IV 2024



Grafikę na okładce zaprojektował Paweł Januszewski



# PRZEGLĄD LITERACKO-PLASTYCZNY

Niniejsza publikacja jest efektem podsumowania przeglądu literacko-plastycznego "Po drugiej stronie okładki" skierowanego do młodzieży, rodziców, opiekunów i pracowników Autorskiej Szkoły KLANZY.

---

Prezentujemy 7 nagrodzonych prac. Trzy z nich to prace plastyczne wykonane technikami grafiki komputerowej oraz malarstwa. Stanowią nowe, autorskie propozycje okładek i ilustracji do książek i komiksów.

Prace literackie natomiast oparte zostały o powieści o różnej tematyce, a nawet dramat.

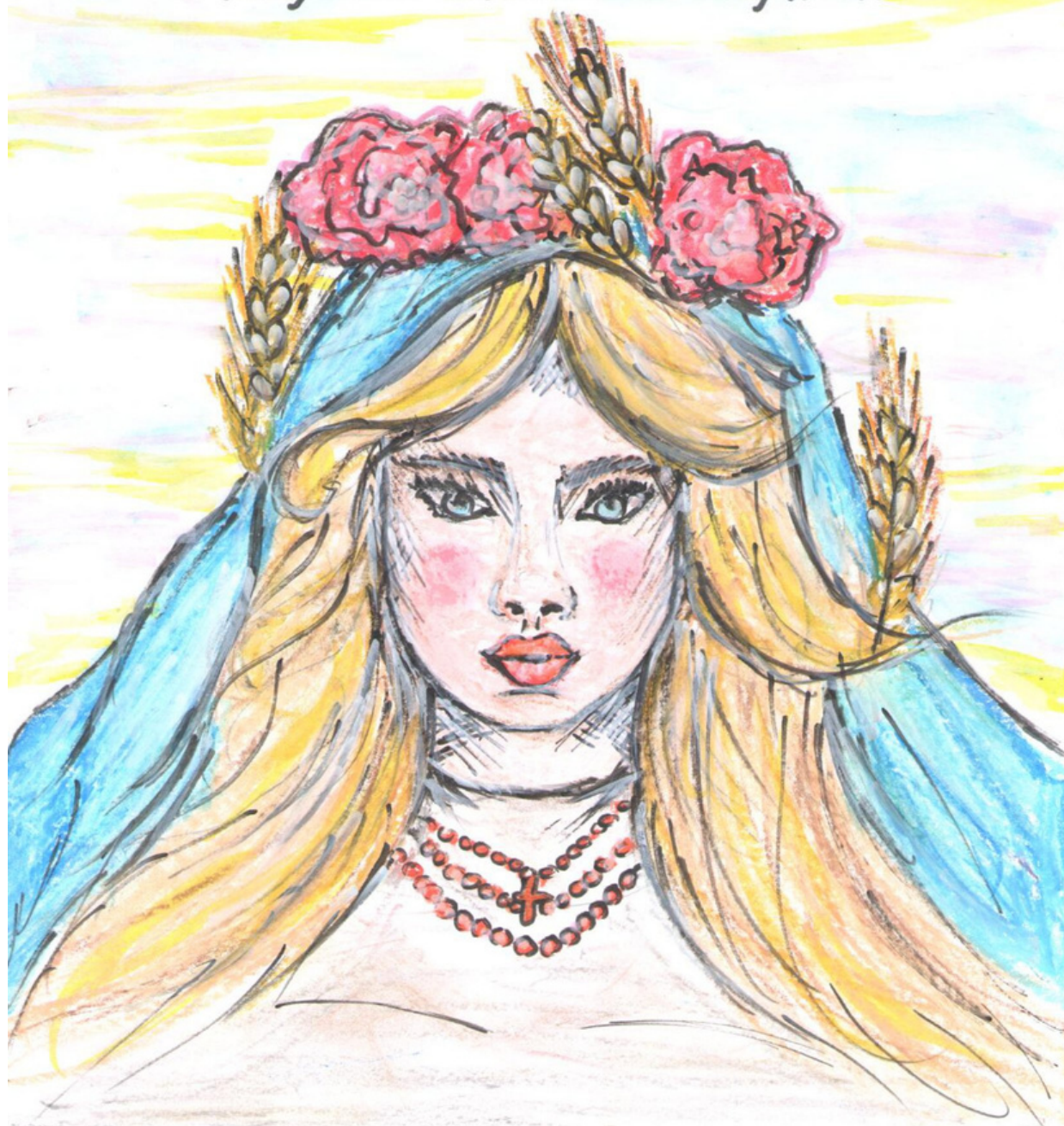
Serdecznie zachęcamy do lektury tych niezwykłych historii, w których znani bohaterowie przeżywają zupełnie nowe przygody. Jednocześnie gratulujemy wszystkim nagrodzonym w przeglądzie pomysłowości oraz kreatywności i życzymy dalszych sukcesów.

Redakcja



# CHŁOPI

Władysław Stanisław Reymont



**ANETA CHLEWICKA**  
**PROJEKT OKŁADKI**  
**DO KSIĄŻKI "CHŁOPI"**

# GABRIELA HOROSZ

## “JAK ELINOR STAŁA SIĘ ROZWAŻNA”

Jest rok 1885, niedzielny poranek w samym środku wiosny. Wszystko budzi się do życia. Nowy dzień rozpoczyna także rodzina Dashwoodów.

Państwo Dashwood są dobrze sytuowani, ojciec umie zadbać o swoją, drugą już, żonę i trzy córki. Pracuje i utrzymuje dobre stosunki z bardziej wpływowymi członkami rodziny.

Tego pięknego poranka, rodzice wraz z 13-letnią Marianne i 4-letnią Margaret siedzą razem przy stole i jedzą śniadanie.

Służba już od dawna jest na nogach, przygotowuje śniadanie oraz jadalnię, wypuszcza zwierzęta, sprząta pokoje sypialne.

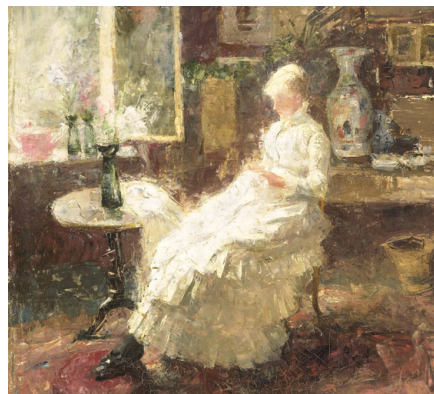
- George! - krzyczy kucharka do młodego służącego. - Mam cię batem nauczyć, jak wyprowadzać te krowy?! Będziesz je potem czyścić! Na litość boską, jesteś tu od dwóch miesięcy i dalej nic nie umiesz!

- Nic nie umiem - odburkuje młokos. - Ale jak trzeba posprzątać po gotowaniu, to nagle potrzebny.

- No już, nie filozofuj, tylko idź, idź!

- wygania go szmatką kucharka i zamyka drzwi.

- Szybciej, smaź te naleśniki! - pogania pomoc kuchenną. - Zaraz Dashwoodowie zechcą kawy. No już wszyscy, hop, hop, hop!



Tymczasem w pokoju Elinor pokojówka odsuwa zastony:

- Mary, jeszcze chwilę - ziewa zaspana panna Dashwood. - Daj pospać. Miałam taki piękny sen.

- Przykro mi, panno Dashwood - odpowiada oschle pokojówka. - Pani rodzina już kończy śniadanie. Jeżeli teraz Panienska nie wstanie, nie zdąży do kościoła.

Elinor podnosi się tak szybko, jakby chciała wyskoczyć z łóżka.

- Och, do kościoła! - skacze na równe nogi.

- Jak mogłam zapomnieć!? A Państwo Jones będą?

- Tak - odpowiada Mary. - Kiedy panicz William panią odprowadzał, dał mi tę wiadomość i kazał panience przekazać przed mszą.

Wręcza jej liścik, a Elinor wyraźnie nie może doczekać się, kiedy go przeczyta.

- Mary - mówi szybko. - Możesz powiedzieć rodzicom, że zaraz zejdę.

- Dobrze Panienko - dyga pokojówka i wychodzi z pokoju.

Elinor niemal rozrywa kopertę i pochłania w myślach list od Williama.



„Droga Elinor,

Wczorajszy bal u Twego boku był wspanialszy niż wszystkie. Nie mogę doczekać się spotkania z Tobą! Dzisiaj po mszy w końcu dam upust emocjom dręczącym mnie od dawna. Tak jak uzgodniliśmy, poproszę Twojego ojca o błogostawieństwo dla nas. Kiedy się zgodzi, zaproszę twoją rodzinę na przyjęcie zaręczynowe. Jesteś miłością mojego życia. Chcę je spędzić tylko z Tobą. Zobaczymy się już wkrótce.

Wiecznie Ci oddany, William”

Elinor przepętnia szczęście i miłość. Cicho wzdycha.

- No, dość tego! - gani samą siebie. - Czas się przygotować. Muszę wyglądać pięknie dla Williama.

Tymczasem w holu cała rodzina szykuje się do wyjścia. Służba pomaga im założyć płaszcze.

- Elinor! - krzyczy zniecierpliwiona pani Dashwood. - Schodzisz wreszcie!?

Elinor pokazuje się na schodach, prezentując swoją najlepszą suknię.

- Już jestem, mamu - odpowiada. - Jak wyglądam?

- Przestań się zachwycać sobą! - fuka Marianna. - Schodź!

- No już, już - uspokaja ją Elinor. - James, proszę podaj mi płaszcz.

- Który panienko? - pyta służący.

- Ten zielony - mówi w zamyśleniu Elinor.

- Ostatnio tak podobał się Williamowi...

- A Ty ciągle tylko William i William - burczy Pan Dashwood. - Jeszcze go nawet dobrze nie poznałaś.

- Właśnie - przytakuje mu żona. - Przestań się tak z tym obnosić! To nie wypada, dopóki nie jesteście zaręczeni.

- A jakby mi się dzisiaj oświadczył? - pyta Elinor. - Dopiero byście mieli miny!

Wszyscy uśmiechają się na tę myśl, ale nie mają czasu jej roztrząsać.

- No, już chodźcie, moje Panie - mówi pan Dashwood i przepuszcza wszystkie w drzwiach.

W kościele, w trakcie kazania rodziny Dashwood i Jones siedzą tak, że Elinor i William mogą na siebie patrzeć. Robią to niemal bez przerwy, nie bardzo zwracając uwagę na to, co mówi pastor. Elinor wciąż wyobraża sobie upojne życie u boku Williama, który już za kilka chwil poprosi ojca o jej rękę. Myślała, że taka miłość jest możliwa tylko w książkach, w których się zaczytuje, ale nie, ona i William są jak postacie z romansu.

Po zakończonym kazaniu Elinor zostaje w ławie wraz z jej najbliższą przyjaciółką Emmą. Elinor powiedziała jej o wszystkim i teraz wspólnie przyglądają się w napięciu, jak William rozmawia z panem Dashwoodem.

- Elinor, tak bardzo cieszę się twoim szczęściem - mówi cicho Emma. - Wyjść za takiego mężczyznę, będąc w kwiecie wieku! Jedyną osobą, która na to naprawdę zasługuje, jesteś ty. Znasz tyle romantycznych historii.



-Emmo - wzdycha Elinor. - Ty też spotkasz swojego ukochanego. Myślę, że hrabia Thomas jest tobą zachwycony.

- Och! - rumieni się Emma. - Przestań! Choć to prawda, że na balu było cudownie.

-Popatrz - szturcha Elinor. - Skończyli rozmawiać!

Elinor zerka zarumieniona w stronę mężczyzn, a William uśmiecha się do niej triumfalnie.

Dziewczyna mocno przytula przyjaciółkę. Jest taka szczęśliwa.

- Emmo - nagle z boku odzywa się pani Dashwood. - Czy wstąpisz do nas na obiad?

- Oczywiście, pani Dashwood, z wielką chęcią - grzecznie odpowiada Emma.

Gdy wychodzą z kościoła, oczy Elinor i Williama spotykają się. Jeszcze nie wypadają im ze sobą rozmawiać na osobności, ale William podaje jej ukradkiem kolejny liścik.

Otwiera go szybko i czyta:

„Ukochana,  
Twój ojciec się zgodził. Odpocznij  
przed naszym pięknym dniem.  
Wiecznie ci oddany, William”

Elinor czuje, że to jest prawdziwa miłość i że już zawsze będzie taka szczęśliwa.

W domu Elinor zastaje ojca w gabinecie.

Siedzi za biurkiem i odpisuje na listy.

- Tato! - woła nie mogąc ukryć ekscytacji.

- Widzę, że jesteś szczęśliwa - uśmiecha się ojciec. - Cieszę się.

- Dostałeś zaproszenie na jutrzejsze przyjęcie? - pyta Elinor.

- Tak - odpowiada pan Dashwood. - Bawcie się dobrze.

- Jak to? - dziwi się Elinor. - Nie będzie cię na moich zaręczynach?

- Niestety, kochanie - poważnie mówi ojciec. - Muszę pojechać do wuja i na nowo ustalić sprawy spadkowe.

- Rozumiem - wzdycha Elinor. - William chciał z Tobą o tym porozmawiać.

- Niech będzie spokojny - ojciec wstaje i całuje ją w czoło. - Póki żyję, niczego wam nie zabraknie.

Następnego dnia w domu Dashwoodów od rana trwają gorączkowe przygotowania. W końcu rozpoczyna się przyjęcie zaręczynowe.

Wszyscy zaproszeni wiedzą, że dziś ogłoszony zostanie związek Elinor Dashwood i Williama Jonesa. Młodzi postanawiają jednak czekać z oficjalnym ogłoszeniem zaręczyn na powrót pana Dashwooda. Elinor nie bardzo rozumie, dlaczego. Chciałaby już teraz głośno krzyknąć o swojej miłości, ale William nalega, że chce najpierw rozmówić się z przyszłym teściem.

W końcu pan Dashwood wraca. Zaprasza Williama do gabinetu. Elinor wydaje się, że nie wychodzą z niego całe wieki. W końcu drzwi się otwierają.

William Jones wychodzi z gabinetu stanowczym krokiem. Jest inny niż jeszcze kwadrans temu. Jego wzrok jest zimny. Elinor chce do niego podbiec i wtedy słyszy rozmowę ukochanego z panią Jones.





-Obiecał nam pensję roczną - mówi William do matki. - Ale Elinor nigdy nie zostanie jego spadkobierczynią.

- To za mało - odpowiada pani Jones. - Czas znaleźć ci lepszą partię.

Po słowach matki William odwraca się i zauważa Elinor. Podchodzi do niej.

- Panno Dashwood - mówi do niej chłodno. - Musimy się pożegnać. Przepraszam, że źle zrozumiała pani moje zachowanie.

Po tych słowach wychodzi. Elinor chce biec za nim i krzyknąć, że nic źle nie zrozumiała, że to prawdziwa miłość i spadek nie ma znaczenia, że przecież dziś są ich zaręczyni! Chce tego, ale nie może się ruszyć.

Przyjęcie kończy się wcześniej, a goście są zdezorientowani. Gdy to zdziwienie minie, zaczną plotkować na całego. Elinor nie myśli jednak o plotkach. Myśli tylko o straconej miłości. Kolejne dni są dla niej udręką, jednak pewnego ranka budzi się z silnym postanowieniem, że już dość. Dość romantycznych książek, dość wyobrażeń o wielkiej miłości. Dziewczyna w jej sytuacji - dobrze sytuowana, ale bez fortuny, musi być rozsądna. Wtedy nie da się oszukać żadnemu Williamowi!



# ANNA CHOROMAŃSKA

## “CHATA”



### Prolog

Słyszał krzyki i galopującego w oddali konia. Wnet zapadła zupełna pustka. Czuł się nieswój przez ból w przetyku. Był przekonany, że to już koniec jego żywota, jednak dalej zdawał sobie sprawę o swoim jestestwie...

---

### Scena I

Czuł się jakby mijały miesiące, może nawet lata, a jego nie otaczało nic poza smakiem goryczy. Każdą z chwil spędzonych w owym stanie przeznaczał na niezwykle dokładny rachunek sumienia.

Podczas jednego z rozmyślań poczuł na swoim ramieniu delikatny dotyk, a przez czarną dotąd pustkę zaczęły przebijać się lekkie przebłyski lamp.

Zaczęły dochodzić do niego krzyki i szepty. Otworzył w pełni oczy i ujrzał starą salę pełną łóżek. Każda ze ścian była pokryta starą farbą, która odchodziła grubymi płatami. Spojrzał, w górę i ujrzał Laurę.

Skołowany całą sytuacją, rzekł do niej:

- Cóż tu robisz moja ukochana? Gdzie mnie posłali? Czyż ja nie umarłem?

Kobieta zasłoniła mu usta swą ręką i z lekkim uśmiechem wyszeptwała, że wróci jutro o zmroku, gdyż teraz wstaje rano i nie może jej tu być.

Rozkojarzony zaistniałą sytuacją mężczyzna przyłożył głowę do białego pierza i czekał...

Czekał na swą lubą, aż do zmroku, lecz ta się nie pojawiała...

---

### Scena II

Kordian przebudził się parę dni później w zupełnie obcym dla siebie miejscu. Przykryty był pierzem okrytym zlepkiem wzorzystych dzianin.

Zaczął rozglądać się po niecodziennym wnętrzu, pierwszym z wrażeń było gęste, zapachowe powietrze przesycone wonią ziół oraz kadzideł. W pomieszczeniu unosił się delikatny dym, nadając mu tajemniczego charakteru. Płonące świece i migoczące płomienie wokół kotła tworzyły złoty blask. Na ścianach wisały surowe, ręcznie rysowane ilustracje przedstawiające niezwykle rytuały, a na podłodze stosy pergaminu. W jednym rogu chatki stał wysoki stolik, pokryty zwojami i księgami- na jednej z nich widniał rysunek dziwnego stworzenia.





Zafascynowany widokiem chatki mężczyzna niemalże nie zauważył przemykającej z koszem jagód Laury, zdradził ją jedynie trzask jeden z desek.

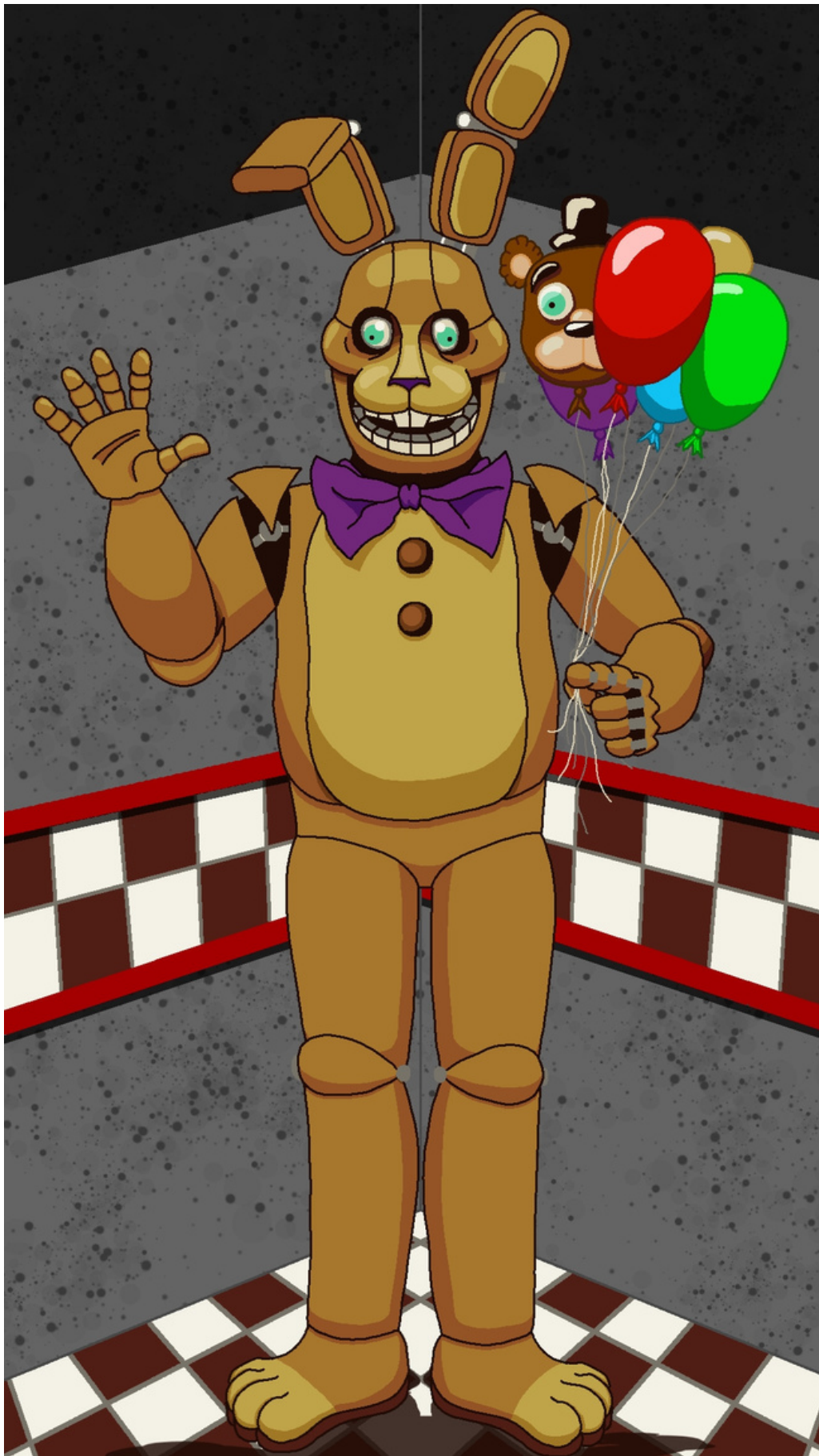
-Ileż można spać mój drogi? Myślała już ja, że cię nie dobudzę z owego snu"

- Lauro, czyś mogłabyś opowiedzieć mi o tym, co się działo?"

Laura zamilkła, zaczęła przebierać w popłochu zebrane wcześniej jagody. Jednak po chwili westchnęła i rzekła:

- Całe lata temu, kiedyś jeszcze o me wdzięki zabiegał. Zbyt późno że zrozumiała, jaka ja głupia byłam, żeby odrzucić twe zaloty. Lata spędziłam szukając ciebie... Gorzką mgłą obrosła mnie tęsknota, gdy zastygł cień pustki, a serce zamilkło w rozpacz. O, jakże gorzkie łzy opadły na deski mych myśli, gdy ujrzała cię na ścieżku. W chacie pustka jak wichura hula, w oknach stały zastygłe obrazy, a ja w magii szukałam rozwiązań. Tak cię tu sprowadziłam, byśmy mogli dusze nasze połączyć i żyć wiecznie razem.

W jej oczach migotały niezgłębione źródła wiedzy, jej gesty były pełne swobody, mimo tragedii w głosie, a Kordian zaczynał zdawać sobie sprawę, że to miejsce było nie tylko enigmatycznym schronieniem, ale także źródłem niewyobrażalnej mądrości...



**PAWEŁ JANUSZEWSKI**  
**“FAŁSZYWY KOSTIUM”**  
**PROJEKT ILUSTRACJI**  
**DO “FAZBEARS FRIGHTS. W PUŁAPCE”**



# MICHALINA JARNUTOWSKA

## “NUDNE ŻYCIE BILBO BAGGinsa”

Spokojne życie Bilba w Shire powoli go nużyło.

Od pamiętnej wyprawy z kompanią Thorina upłynęło ledwie 10 lat, a on już zaczął się nudzić i zatęsknił za przygodami. Każdego dnia wyczekiwał listu z wezwaniem do Ereboru lub czegoś od Gandalfa. Ten czas spędzony na czekaniu dłużył mu się niemiłosiernie i nawet nie zauważył, kiedy nadeszła wiosna. Była to jego ulubiona pora roku z wielu powodów. Zaczynało się robić ciepło, ale nie na tyle, żeby musiał przesiadywać całymi dniami pod parasolem, nie mając siły na nic, tak jak zwykle bywało w lecie.

Oprócz tego po zimie i stopniałym śniegu gleba była idealnie nawilżona i można było rozpocząć prace w ogródku, które Bilbo uwielbiał. W tym roku zamierzał przede wszystkim dbać o dąb zasadzony z żółędzia zdobytego u Beorna, ale też chciał wyhodować pieczarki, co było nie lada wyzwaniem dla przeciętnego ogrodnika. Na szczęście kuzyn Bilba, Maggot, zajmował się grzybami zawodowo, a jego pieczarki z pewnością były najlepsze, sądząc po wypowiedziach wielu hobbitów. Szkoda tylko, że ani jeden z nich nie widział choć połowy tego co Bilbo. Opuszczenie Shire było dla jego mieszkańców czymś w rodzaju podróży w kosmos. Nie wiedzieli co mogło ich spotkać za granicą i przede wszystkim się tym nie interesowali, a jednak, gdy Baggins Ze Wzgórza wrócił z trzynastomiesięcznej wyprawy, zaczął być traktowany jak hollywoodzki celebryta. Każdy chciał z nim porozmawiać czy przeprowadzić wywiad.



Powstało też wiele plotek, między innymi o skarbie, majątku, życiu uczuciowym (którego Bilbo w ogóle nie posiadał), a nawet o spadku. To ostatnie skłóciło niemal całą rodzinę Bagginsów, ale też Tuków i Brandybucków. Tylko jego kuzyn, Drogo, nie mieszał się w plotki, gdyż uznawał, że liczy się tylko to, co powie Bilbo. Hobbit bardzo często zapraszał jego z żoną na różnego rodzaju zabawy. On sam, mimo wielkiego bogactwa i zainteresowania, czuł się wypalony. Chciał od życia czegoś więcej i kiedy kolejnego wieczoru zastanawiał się co by tu zrobić, zauważył dwie postacie zbliżające się do jego norki.

Natychmiast zerwał się i poprawił swój kraciasty szlafrok, aby dobrze prezentować się przed tajemniczymi przybyszami. Kiedy zbliżyli się na tyle, by Bilbo mógł widzieć ich twarze, od razu je rozpoznał:

-Ori!! Dori!! Witajcie przyjaciele, zapraszam na kolację. Co prawda sam już zjadłem, ale dla towarzystwa mogę coś jeszcze przekąsić.

-Dzień dobry Panie Baggins- odpowiedział z uśmiechem Ori, niski krasnolud z fryzurą na garnek.

Zanim zdążył dokończyć, wtrącił się Dori:

-Mówi się "dobry wieczór" o tej porze- był on równie niski co Ori, ale tęższy. Oczywiście z przyjemnością wejdziemy, jednak jesteśmy tu bo mamy sprawę.

-Każdą sprawę najlepiej załatwić przy stole!- odrzyknął hobbit znikający w kuchni.

- Wchodźcie, wchodźcie, czego się napijecie?

Bilbo szybko przygotował kolację i nie minęło więcej niż osiem minut, kiedy wraz z gośćmi zasiedli przy stole.

-A więc Panie Baggins, jesteśmy tu by Panu to dostarczyć.- oznajmił Dori, wyciągając list z głębi płaszcza i przekazując go hobbitowi. Było to zaproszenie na przyjęcie urodzinowe Króla Pod Górą, Thorina Dębowej Tarczy, wieloletniego przyjaciela Bilba. Ich relacja opierała się na ciągłych wzlotach i upadkach. Na początku Król nie traktował włamywacza poważnie, lecz po wyprawie bardzo go zaczął cenić. Humor Bagginsa poprawił się jeszcze bardziej. Jedynym czego potrzebował była podróż i to jeszcze na imprezę. Chwilę musiał się nad tym zastanowić, aż w końcu z zamyślenia wyrwał go Ori:

-Jeżeli chce Pan jechać, to może się Pan zabrać z nami jutro rano. Bardzo by nam wszystkim zależało, żeby Pan się zdecydował.

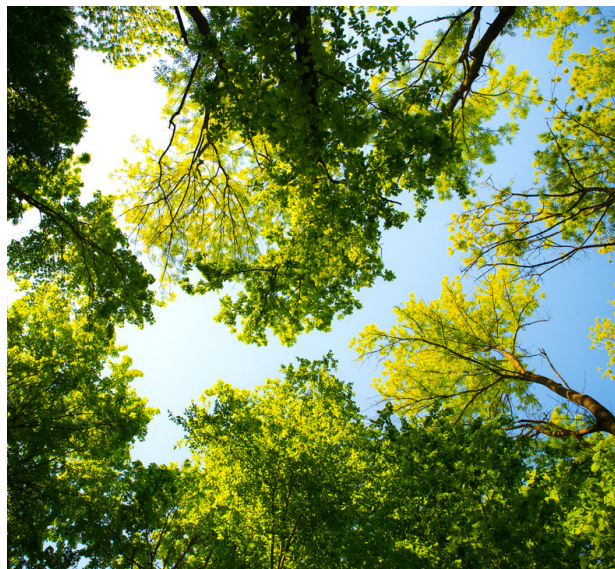
-Ależ oczywiście!- od razu zgodził się Bilbo- Mogę jechać nawet teraz, tylko że nie mam prezentu.

-Król nie chce żadnego. Powiedział, że najważniejsza jest pańska obecność.

-A więc jadę!- po tych słowach hobbit udał się do swojego pokoju i rozpoczął pakowanie. Spodziewał się, że zostanie tam na co najmniej tydzień, zapakował wszystkie swoje odświeżające ubrania.

Nie zapomniał też o chusteczkach i grzebieniu, ponieważ były to przedmioty ważne, ale niespotykane u krasnoludów.

Kiedy był już gotowy, zaczął myśleć o prezencie. Mimo zapewnień, uważał, że nie może pojawić się z pustymi rękoma. Długo szukał czegoś idealnego, ale żadna z jego rzeczy nie nadawała się do Ereboru. Kwiatki od razu by zwiędły, a porcelanę by potłukli, chociażby dla zabawy. To musiało być coś wartościowego, sentymentalnego, mającego symboliczne znaczenie. I wtedy go olśniło.



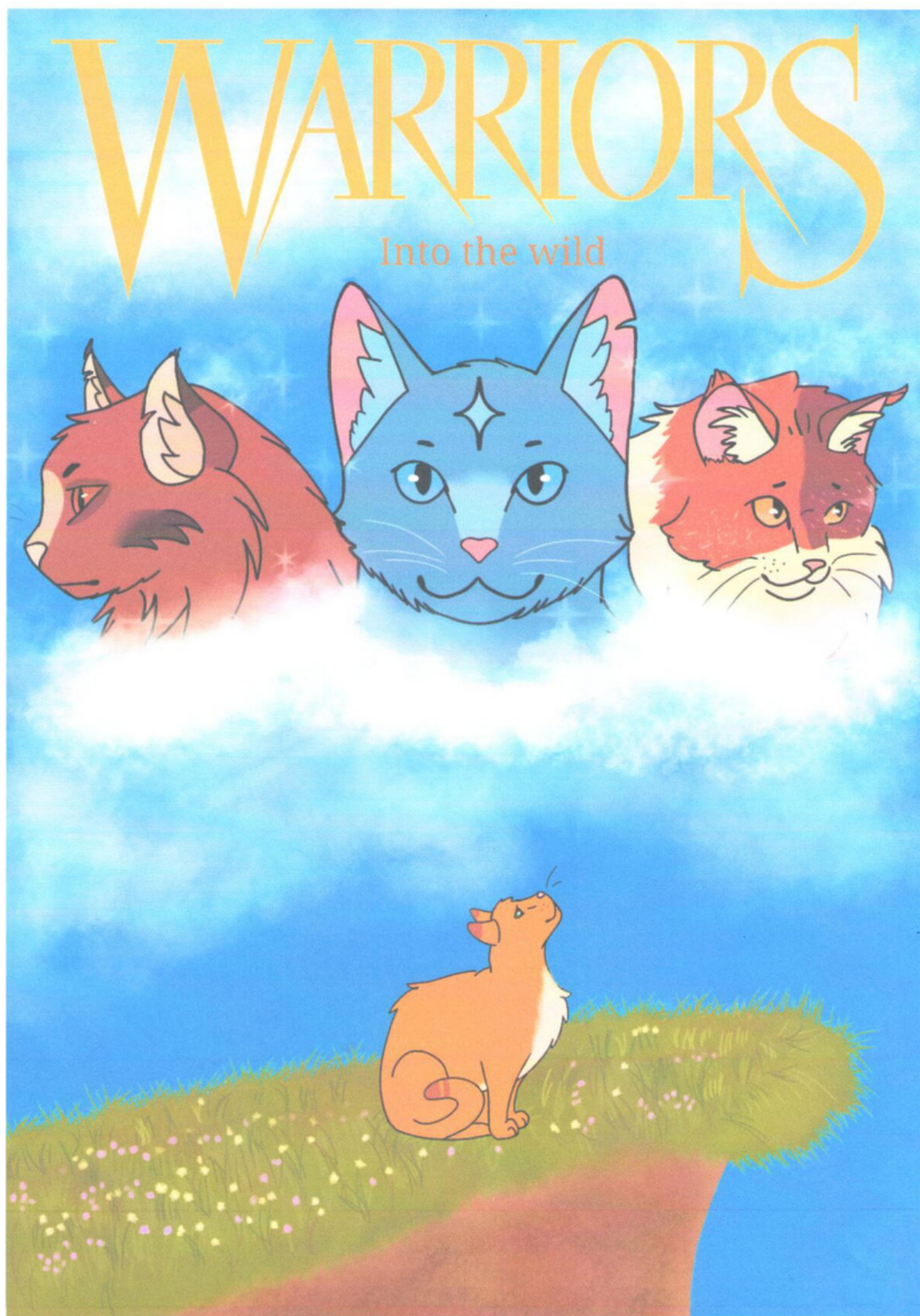


Poszedł do ogródka i zerwał ze swojego dębu żołądź. Teraz również Thorin mógł mieć pamiątkę po wyprawie. Rano zerwał się, kiedy było jeszcze ciemno, bo bał się, że odjadą bez niego, tak jak zrobili to podczas ich pierwszej wspólnej podróży. Teraz jednak okoliczności były inne, dużo przyjemniejsze.

Podróż mijała bardzo przyjemnie, w miłej atmosferze. Wiele rozmawiali, śpiewali i się śmiali, ale też milczeli i zatrzymywali się w gospodach. Po siedmiu dniach w końcu dojechali. Nie od razu zaczęli biesiadować, ponieważ cała trójka była zmęczona po długiej podróży. Jednak Bilbo nie żałował żadnej chwili, odkąd wyjechali z domu bawił się tak, jak właśnie chciał.







**PROJEKT OKŁADKI  
DO SERII "WOJOWNICY"  
ERIN HUNTER  
- PRACA ANONIMOWA**



# SZYMON SKOBIEJ

## “ZAMEK NAD DUNAJEM”

Była końcówka września, roku pańskiego 1843. Słońce osiągnęło zenit już dobre kilka godzin temu i teraz leniwie wędrowało w dół nieboskłonu, aby wkrótce usnąć w zalesionych wzgórzach, którymi otoczony był Preszburg. Miasto jak zwykle oddychało swoim gwarem i dymami z kominów. Po wąskich ulicach śpieszyli ludzie w sobie jedynie znanym celu. Na ulicach wyróżniały się furmanki i dorożki, stanowiące jedną, zbitą, jednokolorową całość w tłumie kolorowych ubrań, sunące naprzód jak potwory, przed którymi rozstępowały się całe „zastępy” mieszczan. Po Dunaju powoli i z gracją ciągnęły parowce, które kłębamii dymów z kominów przykrywały ostre, majaczące w tle granie Karpat.

Jedną z brukowanych, Preszburskich dróg w pędzie jechała karetka, chociaż po skromnym stanie jej zdobień bardziej przypominała używane na kontynencie amerykańskim dyliżansy. W większości była pomalowana czarną, lśniącą farbą z złotym pasem biegnącym przez boki. Miała żółte, zabrudzone od pozamiejskich dróg koła. Z tyłu zamontowane były dwa duże kufry, podobnie na dachu. Stangret, powożący czterema białymi końmi z pióropuszcami z pawich piór, ubrany był w beżowe spodnie i czarny surdut, z za którego na brzuchu wystawała biała koszula oraz czerwony żabot. Okna pojazdu zasłonięte były od środka czerwonymi zasłonkami.

Ale mniejsza o samym pojeździe, Preszburgu czy innych elementach świata poza wnętrzem karocy. Samo jej wnętrze było nawet przytulne: siedzenia przy przedniej i tylnej ścianie były obite szarym materiałem a podłoga wykonana z ciemnego, świerkowego drewna.

Na tej właśnie podłodze, jakby podróżnemu było mało, stał kolejny kuferek, który podskakiwał na co większych wybojach, podobnie jak siedzący na siedzeniu mężczyzna, na oko trzydziestolatek. Miał on potargane, brązowe włosy, odcień skóry balansujący pomiędzy zdrowym a chorowitym bladym i niebieskie oczy spoglądające bystro poprzez noszone na nosie okulary z ramą ze złotawego drewna. Ubrany był w białą koszulę, czarne spodnie i surdut oraz równie czarne, lakierowane buty na niziutkim obcasie. Jedną ręką trzymał zmiętą kartkę papieru, na którą spoglądał wręcz z podnieceniem, a drugą podtrzymywał stojący na siedzeniu obok kałamarz z piórem.



Nieskutecznie. Na kolejnym wyboju podskoczyła cała karetka, kałamarz wyleciał na moment w powietrze, aby następnie upaść na podłogę pojazdu i szpetnie ją poplamieć, podobnie jak spodnie i buty mężczyzny, który po chwili tępego wpatrywania się w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą stał jego inkaust, podniósł go z ziemi, zamoczył pióro w resztkach niewylanego atramentu i począł kreślić na zmiętej kartce, dyktując samemu sobie:

“Droga Louise! Mam nadzieję, że moje pismo zastanie cię w zdrowiu, którego jednak niestety zabrakło mojemu kuzynowi, Ottonowi. Gdy tylko doszły mnie wieści, jakoby pocziwego Tyrolczyka złożyło na ciebie i umyśle, pośpieszyłem do Preszburga (to niewielkie miasteczko na drodze z Warszawy do Budapesztu i dalej na Bałkany). Mam nadzieję, że moja wizyta pomoże w jego kuracji. Chociaż wątpię... Pomódl się za mnie i przede wszystkim za Ottona. Przy sprzyjających okolicznościach wrócę do Wiednia za kilka dni. Na zawsze oddany, Wilhelm.”

Mężczyzna popatrzył przez chwilę na przedostatnie zdanie listu.

Nie wiadomo, jak długo przedłuży się jego pobyt na Słowacji. Jego kuzyn, Otto von Burbeck, niedawno kupił stary, nieduży zamek w okolicach Preszburga i od tamtego czasu przestał słać listy, a jego rodzina słała rozpaczliwe skargi, jakoby zamykał się w pokoju na cały dzień i co noc okręzał budynek ze świecą, krzycząc o jakichś koniach i o bitwie.

Te właśnie doniesienia skłoniły Wilhelma – szlachcica i wykładowcę z Wiednia – do osobistego odwiedzenia posiadłości. Dla interesów i dalszego rozwoju jego kariery kluczowe było, aby pomóc kuzynowi dojść do siebie, spakować się i jak najszybciej powozem, parowcem, a nawet i pieszo, ale wracać do Wiednia.

Wilhelm przeciągnął się na siedzeniu i uchylił zasłonki.

Powóz wyjechał z Preszburga i teraz telepał się na szczyt wzgórza dróżką wiodącą do rezydencji. Co chwila zza drzew porastających zbocza wzgórza prześwitywał widok wieczornego Preszburga. Mężczyzna zamknął oczy, i mimo wstrzymywania się, zasnął. Obudził go dopiero odgłos końskich kopyt i turkotu kół, a właściwie jego brak. Karoca zwalniała – dotarł do celu.

Wkrótce stangret otworzył drzwi. Do środka wpadło świeże, zimne powietrze. Wilhelm wypchnął na brzeg wnętrza powozu kufer, który w mgnieniu oka przechwycili stojący na miejscu służący. Sam zszedł po małej drabince, po czym stanął na trawniku przed zamkiem. Rozejrzał się na prawo i lewo. Zamek nie był imponujący. Typowa, niewielka gotycka warownia na szczycie wzgórza, z którego roztaczał się widok na miasto. Zamek posiadał jedną wieżę i wysoką część główną, do której trzeba było dostać się przez bramę strzeżoną przez dwie pokraczne baszty i niewysoki wał, w skład którego wchodziła tylna ściana części głównej. Wzdłuż podejścia do bramy rosły pokraczne drzewka przystrzyżone tak, aby wyglądały jak kostka.

Tuż obok miejsca, gdzie zatrzymał się powóz, ustawiła się służba w sile sześciu mężczyzn, ubranych jednakowo – zgniłozielone spodnie w kratę, takiego samego koloru surduty, czarne lakierki i białe koszule, zwieńczone czarnymi żabotami. Najwyższy z nich podszedł dziarsko do Wilhelma i powitał go słowami:

- Panie Wilhelmie Von Eggen-Borbeck, witamy na zamku Kisholm. Proszę za mną, a reszta służby zajmie się pańskimi bagażami.



- Dziękuję - odpowiedział przybyły, cały czas oglądając to zamek, to otaczający go las. Ruszył za postawnym lokajem, próbując zakryć płamę po atramencie kurzem i pyłem dróżki, którą podeszli do otwartej szeroko bramy. Dziedziniec wyglądał równie mizernie co cała budowla - wybrukowany plac, przez który od czasu do czasu przechodził pełniący swoje obowiązki służący lub służąca.

Lokaj zaprowadził go do drzwi wieży, po czym zwrócił się do niego:

- Do pokoju zaprowadzi pana panna Marie. Dobrego wieczoru życzę.

Wilhelm wręczył słudze szylinga, po czym ponaglając ruchem dłoni przepędził go i zaczął znowu rozglądać się po dziedzińcu. Spozstrzegł nadchodzącą z naprzeciwka kobietę, zapewne rzeczoną panną Marie. Miała na sobie czarną, długą suknię, biały fartuch oraz białą chustę na włosach. Podeszła do schodów wieży i pochyliła głowę, aby przywitać Wilhelma. Dał jej znak do pośpieszenia się.

Służąca odepchnęła drzwi i zaczęła prowadzić gościa krętymi schodami w górę. Wilhelm, który szedł za nią, widząc stare, zaniedbane schody, spytał ją:

- Wie panienka może, kiedy zbudowano ten zamek?
- Nie wiem, ale mogę paniczowi potwierdzić, że jest dosyć stary...
- To sam wywnioskowałem - westchnął Wilhelm, po czym zadał kolejne pytanie.
- Czy Pani może wie, co się dzieje z Ottonem Von Borbeckiem, gospodarzem tego domu?

Marie przystanęła, spojrzała w górę i w dół schodów, po czym zeszła na niższy stopień i drżącym szeptem odpowiedziała:

- Służący mówią, że Pana diabeł opętał... Ni w dzień ni w noc nie sypia, gdy widno siedzi w podziemiach nad zakurzonymi księgami i nawet nic nie zje, a w nocy biega pod murami, krzyczy, skacze i kopie doły w losowych miejscach, mówię paniczowi, diabły go opętały i diabły są w tych murach...

Kobieta w pośpiechu przeżegnała się, po czym dodała:

- W razie czego, znajdzie panicz naszego gospodarza w części mieszkalnej, drugie piętro, ostatnie drzwi na korytarzu na lewo od okna.

Wilhelm zamyślił się, jednak tylko od niechcenia mamrocząc pod nosem numery kolejnych stopni, zaczął dalej podążać w górę wieży. Jego liczenie skończyło się na 235 stopniu. Marie uchyliła drzwi ponad ich głowami i oboje wspięli się do przestronnego pokoju na najwyższej kondygnacji wieży.

Był on okrągły, dostosowany do kształtu reszty wieży. Pod ścianą naprzeciwko wejścia stało wielkie łóżko z prowizorycznym baldachimem otoczone szeregiem kufrów, szaf

i komód, wypełnionych książkami oraz co ciekawsze, dużą ilością świec, ikon i krzyży.

I to właśnie Wilhelma najbardziej zaintrygowało. Wskazał palcem na jeden z nich, starannie wyrzeźbiony w drewnie z bursztynowymi i złotymi zdobieniami i zadał Marie pytanie: - Co to u licha?

- Te wszystkie krzyże? - odpowiedziała pytaniem na pytanie służąca, która aktualnie poprawiała przechylone księgi na półkach.

Wilhelm z zaciekawieniem i nutką przerażenia odpowiedział:

- Tak... Dziwnie ich dużo jak na tak mały pokój.

- Pan zaczął rozwieszać je w tym specyficznym pokoju, gdy tylko się tu wprowadził. Od tamtego czasu właśnie zaczęły się jego kłopoty z... no wie panicz...- tutaj Marie przerwała i kręcąc palcem obok głowy, dała do zrozumienia, co ma na myśli. Wilhelm ze zrozumieniem pokiwał głową, po czym pożegnał się ze służącą pytaniem:

- Za ile czasu dotrą moje bagaże?
- Do dziesięciu minut, paniczu.
- Rozumiem, dziękuję.



Marie skłoniła się nisko, otworzyła drzwi w podłodze i udała się schodami w kierunku wyjścia z wieży. Wilhelm pozostał sam. Przez chwilę krążył bezmyślnie po pomieszczeniu, jednak wkrótce zaczął z gorliwością oglądać zgromadzone tu sakrały.

Było ich mnóstwo: krzyże wszelkiego rodzaju, rozmiaru i materiału licznie zakrywały kamienne ściany komnaty. Pod nimi, na każdym możliwym meblu stały świece w żelaznych stojakach, zdobionych głowami lwów.

Najwięcej było jednak ikon i obrazków przedstawiających świętych, apostołów czy sceny biblijne. Jedna, jedyna rzecz, która wzbudziła w mężczyźnie obawy – żadna postać pokazana na grafikach nie miała namalowanych oczu. Z dwóch punktów w ich twarzach wyzierała biel lub brąz drewna, na którym były malowane. Z jednej strony, Wilhelm zafascynowany był tym skupiskiem sakrałów nieokreślonego pochodzenia, z drugiej strony czuł silne uczucie strachu, spotęgowane świadomością tego, że zaledwie trzy tygodnie temu, zdrowy człowiek, który zamieszkał w tym zamku, był teraz obłąkany. Poza tym te oczy... Kto normalny malowałby postacie Świętych w ten sposób? A jeśli to nie malarz tak oślepił te postacie? Co jeśli ktoś, albo co gorsza, coś za tym stało? Dziwne, dziwne zjawisko w dziwnym miejscu.

Prześladowany upiornymi myślami Wilhelm aż podskoczył, gdy nagle drzwi podłogowe jego komnaty otworzyły się z impetem. Po chwili jednak ostre bicie serca ustało – to tylko służący wnieśli jego kufry.

Z nieskrywanym zaskoczeniem w głosie podziękował tragarzom, po czym dodał jeszcze:

- Powiedźcie jeszcze, żeby nikt do mnie dzisiaj nie wchodził.

Usiadł na łóżku i bezsilnie patrzył na kufry czekające na rozpakowanie. Nie było mowy, żeby po tylu godzinach jazdy zabrać się od razu do dostosowywania pokoju do swoich potrzeb.

Uznał, że jak na dobrego kuzyna przystało, najpierw warto by przejść się do Ottona, żeby uzyskać dobre rozeznanie w sytuacji nieszczęśnika.

Uznał, że spotkanie ze swoim kuzynem, które było głównym powodem wyprawy do tego zapomnianego przez Boga miejsca, byłoby bardzo dobrą alternatywą dla samotnego wieczoru w pokoju z ikonami wpatrującymi się w niego swoimi pustymi ślepiami. Rzucił ostatnie spojrzenie na kufry, łoże, krzyże, świece i ikony, po czym w powiewie zimnego powietrza spod drzwi podłogowych zaczął mozolną drogę po kamiennych schodach wieży. W końcu stanął przed budynkiem, przeszedł przez dziedziniec, na którym wraz z wędrowną księżycą do zenitu robiło się coraz mniej ludzi i otworzył drzwi w części głównej zamku. Jego oczom ukazał się widok gładkiej posadzki zdobionej czarno-białą mozaiką, nad którą piętrzyły się ściany, hojnie obdarzone obrazami w ciemnobrązowych ramach, którym kunsztu w dodatku dodawały złote i mosiężne zdobienia. Na ścianach na lewo i prawo od drzwi znajdowały się kolejne drzwi bardziej ozdobne od wejściowych, które podobnie jak obramowania malowideł wykonane były ze świerczyny, zdobionej mosiężnymi elementami. Naprzeciwko wejścia, znajdowały się natomiast schody, nieelegancko wykonane z niezdobionego w żaden sposób kamienia, na których mozaikę stanowił kurz.





Wilhelm ruszył przez śliską posadzkę i wspierając się na czarnej, metalowej poręczy udał się na drugie piętro. Tam zastał średniej długości korytarz wyłożony czerwonym dywanem z wyszytymi wzorami, z obu stron otoczony szeregiem drzwi. Pamiętając instrukcje pokojówki, mężczyzna zaczął iść przez korytarz do jego końca. Drzwi po lewej stronie od ślepego zaułka, w przeciwieństwie do reszty na korytarza, były zdobione mosiężnymi gałkami oliwnymi w rogach oraz połączoną kołatką, którą Wilhelm głośno zastukał trzy razy.

Po chwili drzwi uchylił niewysoki człowieczek. Miał on beżowy płaszcz, który na nim wyglądał na za duży, szare spodnie, brązowe, ubrudzone ziemią buty, czarne włosy, niewielki wąsik oraz niewielkie, okrągłe okulary, zza których swoimi piwnymi oczami patrzył podejrzliwie na przybyłego. Po chwili zastękał jak koła łopatkowe parowca i zachrypłym głosem spytał groźnie przybyłego:

- Czego pan tu chce?!

Wilhelm ni to zszokowany, ni to rozbawiony postacią rozmówcy, odpowiedział z małym zaskoczeniem:

- Ja z wizytą do gospodarza, Ottona von Borbecka.

Człowieczek jeszcze chwilę popatrzył na gościa, schylił głowę, i drapiąc się po podbródku, poruszał w zamyśleniu ustami.

Następnie palnął się otwartą dłonią w czoło i przepaszającym tonem spytał:

- Pan Wilhelm von Eggen-Borbeck?

- Tak, to ja.

Rozmówca Wilhelma otworzył drzwi na oścież i zaczął wyjaśniać:

- Przepraszam, to nieporozumienie. Jestem Ludwik, Ludwik Tahelhorn, asystent miejscowego lekarza.

- Miło mi- odpowiedział zniecierpliwiony mężczyzna, po czym wszedł do pokoju.

Pokoju? Trudno go tak nazwać. Przed Wilhelmem rozpościerała się istna komnata. Podłoga wyłożona była wzorem z ciemniejszych i jaśniejszych desek niemal nieskazitelnej czystości. Na lewo i prawo od drzwi pod ścianami ciągnęły się gigantyczne meblościanki, wypełnione księgami i książkami, globusami, przyrządami astronomicznymi, zwojami i innymi rzeczami kojarzącymi się z najnowszą, XIX-wieczną nauką. Nad drzwiami straszły nienaturalnie wielkie poroże jelenia, które widocznie musiało być tak rozłożyste, że nie zmieściło się pod sufitem, o czym świadczyły ślady piły. Na środku komnaty stały spiralne, drewniane schody, podtrzymywane przez stalową kolumnę idącą od podłogi do sufitu. Schody te byłyby perfekcyjnie normalne, gdyby nie fakt, że... wyjście na górę było zabetonowane. Schody skręcały się dookoła kolumny, po czym nikiły w masie szarego, wybijającego się z bieli sufitu, pośpiesznie wylanego betonu. Zdziwiło to Wilhelma. Po co betonować jedyną drogę wyjścia, inną niż drzwi? A jeśli zduszono ją w jakimś konkretnym celu, to dlaczego.

Naprzeciwko wejścia stało duże łóżko z białym baldachimem oraz futrzaną pościelą. Przylegały do niego szafki przepełnione książkami i mapami, na których stały fiołki z różnymi preparatami, świece i puste naczynia. Przy łóżku krzątała się służba oraz jeden wysoki, tyczkowaty mężczyzna w okularach, ubrany podobnie tak jak ten, którego Wilhelm spotkał w drzwiach, najprawdopodobniej wspomniany przez odźwiernego lekarz. Na łóżku leżał, na oko 40-50 letni mężczyzna, ubrany w nocną, kratowaną koszulę i monokl. Jego posiwiałe włosy odsłaniały spore czoło, a pulchne oblicze podpowiadało, że kondycja nie była jego największym zmartwieniem. Co chwila nerwowo poruszał głowę, jakby szukał czegoś w pokoju, a gdy lekarz próbował go uspokoić, ten zerwał się gwałtownie z łóżka i dopiero na prośbę uzdrowiciela część tęgich lokajów, lekko popychając leżącego, położyła goz powrotem.

Wilhelm podszedł, stanął w nogach łóżka i przywitał się jak na dżentelmena przystało:

- Witaj Ottonie.

Leżący na łóżku podniósł głowę, ukazując w pełni nerwowy wyraz twarzy, chwilę popatrzył na gościa, jakby próbował przypomnieć sobie, kim był i skąd go znał, jednak po chwili, tonem który stanowił połączenie radości i obłąkania, odpowiedział na powitanie:

- Co tu robisz?! Nie powinno cię tu być... Uciekaj póki możesz, bo pod tymi murami jest... jest...

Tu zająkał się, po czym wystrzelił jak z procy, i odpychając lokajów i lekarza, pobiegł w stronę stojącego pod oknem biurka, krzycząc ile sił w płucach:

- Puszczaj mnie, chamy, nie będzie mnie nikt przygniatał do łóżka, ja swoje tu znam, a chory nie jestem, precz!

- Panie Burbeck...- przerwał mu lekarz.

Wysoki, szczupły brunet, z okazałym wąsem poprawił okulary na nosie i kontynuował:

- Ma pan gorączkę, która szybko narasta, poza tym zachowuje się pan jak niespełna rozumu, więc proszę dać mi czas, żeby pana wykurować.

- Kuracji mi nie trzeba, od co!- odkrzyknął Otto dopadając do biurka.

Z wypiekami na twarzy i z szybkim oddechem zaczął zrzucać z niego wszelkie papiery, książki i naczynia, aż dokopał się do tego, czego szukał – grubej, ciężkiej księgi, zamykanej na mosiężny zatrzask. Z trudem podźwignął ją, po czym wręczył Wilhelmowi, który stał obok doktora, skonfundowany i jednocześnie rozbawiony tym, co zaszło. Mężczyzna wziął od kuzyna księgę, niemalże pochylając się pod jej ciężarem. Otton chwilę pokręcił się po komnacie, drapiąc się w zamyśleniu po brodzie, po czym kładąc się do łóżka, rzucił:

- Strona 455. A pan, panie doktorze, niech już pójdzie, zaraz już dziesiąta wieczór wybije...

Doktor pstryknął palcami, przywołując do siebie asystenta, po czym obaj wyszli. Pozostali tylko Otton, Wilhelm oraz kilku służących, którzy aktualnie podnosili z podłogi papiery, książki i fragmenty naczyń zrzucane przez gospodarza z biurka. Gość chwilę pobawił się wagą książki, po czym otworzył ją na pierwszej stronie, celem poznania tytułu. Na lekko pożółkłym papierze czarnymi, zdobnymi literami widniały napisy: „Indices superstitionum veterum Moravianorum, czyli spis wierzeń i przesądów ludu pradawnego zwącego się Morawianami. Wydano, Praga, 1722. Autor anonimowy”. Wilhelm zaczął kartkować księgę, na której pod rzędami słów po łacinie widniały ilustracje starych chat, grodów, potworów, roślin i posągów bóstw. Otton z satysfakcją patrzył, jak jego kuzyn odlicza kartki: 367, 368 i tak dalej aż w końcu dotarł do 455. Jako wykładowca historii Wilhelm był zobligowany do znajomości łaciny, więc gdy leżący w łóżku spytał:

- Przeczytałbyś to nam na głos?

Ten tylko kiwnął głową i zaczął czytać:

- Potkrovlje, demon domowy, w którego istnienie wierzono na Spiszu i w Karpatach. Według dawnych mieszkańców tych terenów, ten rogiaty upiór spowity cieniem i falującą tkaniną często zamieszkiwał poddasza chat, zamków i pałaców, skąd zsyłał na mieszkańców obłąd, którym sam się karmił. Gdy w końcu jego żywiciel popełnił z szaleństwa samobójstwo, Potkrovlje przenosił się do kolejnego gmachu. Najbardziej narażone na jego ataki były budynki oddalone od miast na tyle, aby nie dochodziło do nich bicie dzwonów kościelnych.

- Coś jeszcze? - spytał Otton.

- Nie, tylko ilustracja-odpowiedział Wilhelm, oglądając uważnie ilustrację, przedstawiającą młodą dziewczynę z rozłożystym, jelenim porożem na głowie, ubraną w lekką suknię, od której dodatkowo odstawały pasy materiału lewitujące w powietrzu.

Otto stęknął, odkaszlnął gęstą flegmę, po czym spytał kuzyna:

- Rozumiesz, co mam na myśli?

- Nie za bardzo...

- Wilhelmie...- tu Otton zniżył głos do szeptu i kontynuował.- Jesteśmy na Spiszu, w zamku i ledwo tu słyhać preszburskie dzwony, a czuję, jak mój stan z minuty na minutę się pogarsza...



Wilhelm westchnął, po czym w gniewie odłożył księgę na szafkę przy łóżku Ottona i zdenerwowanym głosem odpowiedział:

- Jak Boga kocham, Ottonie, masz ty 6 czy 46 lat?!? Duchy nie istnieją! Po prostu odbija ci z bogactwa! Masz zamek, chyba największy księgozbiór w Karpatach i mnóstwo służby! Po prostu ci odbija. Nie chcę słyszeć o Potkrovlje, duchach, czy innych wymysłach wioskowych głupców!

- Wilhelmie, ja to widziałem na własne oczy, kręciłem się pod zamkiem i to tam było, widzia...

- Dość!- przerwał mu Wilhelm, po czym z pretensją zwrócił się do swojego kuzyna.-

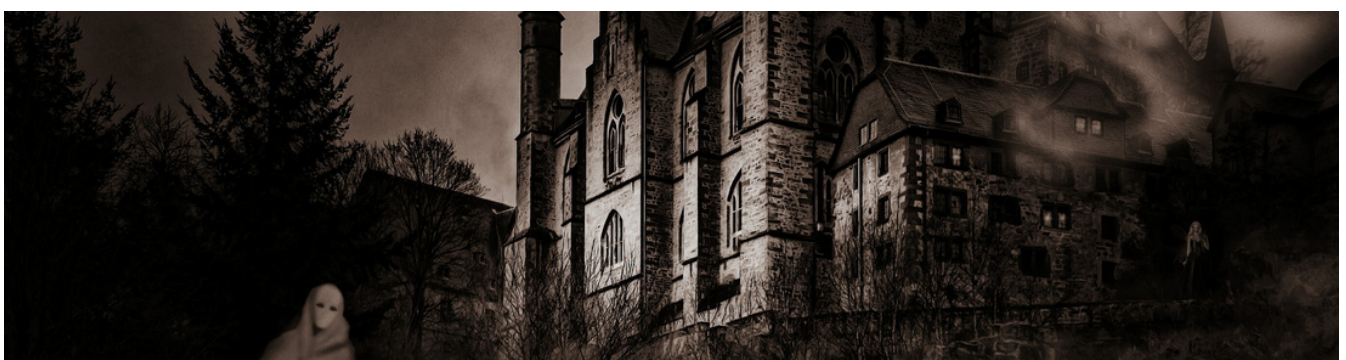
Przyjechałem tu ci pomóc, a nie słuchać dziecinnych historii. Jutro wyjeżdżam.

Po czym nie oglądając się na kuzyna szybko opuścił komnatę i wyszedł z pomieszczenia.

Księżyc wszedł już na niebo, więc trafienie z powrotem do wieży nie stanowiło problemu. Wszedł przez drzwi swojego tymczasowego domu, po czym ruszył schodami w górę. Wkrótce wchodził przez właz do swojej komnaty i... Coś było w niej nie tak. Wychodząc, w celu odwiedzenia tego obłąkańca, kazał służbie nie wchodzić na wieżę, a teraz wszystkie świece, których, jak wspomniałem wcześniej, było tam pełno, były zapalone. Każda. Nieważne, gdzie stała, jak dobrze było ją widać lub jak bardzo już wypalona była, knoty każdej z nich tliły się jasnym, wesoło podrygującym płomieniem. Wydało się to Wilhelmowi podejrzane, jednak był on człowiekiem, który ponad wszystko stawiał zdrowy rozsądek, ot któryś ze służących nie posłuchał i zapalił świece w celu stworzenia przyjemnego klimatu, a jedyne, co stworzył, to wątpliwość Wilhelma w umiejętność zrozumienia poleceń przez Słowaków. W każdym razie, zirytowany zdarzeniami dnia dzisiejszego, uznał że nie zamierza zostawać tu planowanych kilku dni i wyjeżdża jutro, więc nie było sensu robić czegokolwiek z kuframi, które stały cały czas w tym samym miejscu, w którym postawili go tragarze.

Mężczyzna zdjął i bezładnie rzucił na posadzkę surdut, okulary postawił na szafce przy łożu, po czym zaczął gasić wszystkie świece. Było ich tak dużo, że zajęło mu to kilka minut, zanim w końcu komnatę spowiła ciemność i Wilhelm mógł rzucić się na posłanie. Było ono dla niego zbyt miękkie, jednak znużony podróżą i idiotycznymi wymysłami swojego kuzyna zasnął szybko. Nie pamiętał, co mu się śniło, jednak obudził się cały spocony.

Raz po raz przebiegały go lodowate dreszcze, sięgające od czubka głowy aż do palców u nóg. Drżał. Drżał tak straszliwie, że wydawało mu się, że to ziemia się trzęsie a nie on. Leżał tak chwilę z zamkniętymi oczami i przez chwilę wydawało mu się, że jest już ranek. Jednak nie słyszał gwaru służby, gwizdków parowców ani stukania końskich kopyt. Cały czas musiała być noc. Jedyne, co słyszał, to długie, przeciągłe, upiorne wycie wiatru w koronach drzew porastających wzgórze. Racjonalnie myślący Wilhelm uznał, że jego stan musiał być spowodowany jakimś wirusem, którym zaraził się od Ottona. Cały czas miał zamknięte oczy, a gdy próbował odchylić powieki, natychmiast spływał do nich pot. Wilhelm najpierw podniósł głowę, a potem otworzył oczy i chwilę pomrugał. I bardzo chciał, żeby tamtej nocy jego powieki pozostawały zamknięte, ponieważ właśnie wywrócił się o 180 stopni jego światopogląd. Wszystkie świece w pokoju znów świeciły jasnym płomieniem, a Wilhelm kątem oka zauważył przy drzwiach podłogowych cień, który jednak natychmiast się ulotnił.



Mężczyzna pobladał i odruchowo odsunął się od wyjścia z wieży. Jego umysł uznał, że było to zwykłe przewidzenie, jednak wersja jego oczu coraz bardziej dochodziła do głosu, a nietrudno mu było wychwycić w tym ułamku sekundy, że cień miał sylwetkę młodej kobiety. Drżąc jeszcze bardziej, wstał z łóżka i idąc blisko ściany, jak najdalej od drzwi, zdjął ze ściany jeden z krzyży i z całej siły ścisnął go w prawej dłoni.

Gdy tylko jego skostniałe z zimna i ze strachu palce zacisnęły się na krucyfiksie, upiornie wyjący wiatr, jak na zawołanie umilkł, a świece nagle zgasły. Nastąpiła całkowita cisza. Cisza, przerywana jedynie miarowym uderzaniem. Było ono równe, jednak z sekundy na sekundę przyspieszało i towarzyszył mu przytłumiony odgłos kamieni uderzających o kamień. Po dociekliwym nasłuchiwaniu, Wilhelm stwierdził, że odgłosy dobiegają z komnaty, gdzie leżał jego kuzyn. Ciekawiło go, od czego pochodzi ten odgłos, jednak, wciąż blady, nie był w stanie nawet zbliżyć się do zapadni wyjściowej, ze strachu przed, jak mu się wciąż częściowo wydawało, złudzeniem. Uderzył się w czoło, co utwierdziło go w przekonaniu, że to nie sen, lecz albo jawa albo halucynacja. W końcu zebrał się na odwagę. Po omacku dokopał się w kufrze do krzesiwa, od którego zapalił jedną z niedawno zgasłych świec. Podniósł rzucony na posadzkę surdut i założył go w pośpiechu, bez zwracania uwagi na zmięcia i kurz. I tak ze świecą w lewej ręce i krucyfiksem w prawej, zdecydował się na zbadanie źródła tajemniczego stukania. Otworzył nogą zapadnię i natychmiast owiany został lodowatym powietrzem z ciemnej klatki schodowej.

Idąc w nikłym świetle świecy, ostrożnie, schodek po schodku, zszedł z wieży i stanął na dziedzińcu. W części mieszkalnej wszystkie światła były zgaszone oprócz tego pokoju, gdzie leżał Otton. Księżyc stał w pełni i oświetlał dziedziniec nikłym blaskiem. Wilhelm odchylił główne drzwi, wszedł na piętro i, trzymając świecę w wyprostowanej ręce, ruszył do komnaty swojego kuzyna, z której coraz głośniejsze dochodziły odgłosy stukania, szurania i spadających kamieni. Lekko uchylił drzwi i natychmiast owiało go zakurzone, brudne powietrze, od którego zakasłał. Gdy jego oczy przywykły do kurzu, ukazał mu się widok straszny i zarazem dziwny. Łóżko Ottona zawałone było księgami, mapami, papierami i oblane atramentem. Sam Otto natomiast siedział schylony na kręconych schodach. Jeszcze dzisiaj schody te nikły w zabetonowanym suficie, teraz jednak beton dźgany był raz po raz żelaznym dłutem, trzymany w dłoniach obłąkańca, który z każdym uderzeniem stękał i parsknął, aż odwalił od sklepienia kolejny kawał zaprawy.

Gdy zauważył wejście Wilhelma, rozpromienił się i szedł ze schodów. Jego nocna koszula i spodnie były ubrudzone kurzem i kawałkami betonu, co sprawiało, że wyglądał bardziej jak górnik a nie jak bogaty właściciel zamku. Wilhelm chwilę stał w miejscu, patrząc to na swojego kuzyna, to na wyłom, po czym przeproszającym tonem zwrócił się do niego:

- Ja... ja widziałem... ten cień no... ten, o którym mi mówiłeś tej nocy, on istnieje, nie wiem czy to jawa, czy halucynacja j-ja...

- Już, już.

Odpowiedział ze śmiechem zdyszany mężczyzna. Wskazał palcem kandelabr stojący przy wejściu, po czym powiedział:

- Wiesz już, że nie jestem opętany? Wiesz? No to chwytaj to ustrojstwo i pomóż pocziwemu Ottonowi kopać.

Wilhelm chciał na początku pytać o szczegóły, jednak, gdy zauważył, jak jego kuzyn znów bierze się za pseudogórnictwo u szczytu schodów, wszedł na niższe szczeble i z siłą, której mu od młodu brakowało, zaczął dźgać sufit. Beton schodził opornie, jednak po dłuższej chwili stękania, bycia zasypywanymi odłamkami, obaj kuzyni stworzyli sporą wyrwę w suficie, skąd ukazały się pokryte grubymi warstwami pajęczyn spróchniałe belki podtrzymujące dach.

Otton podał Wilhelmowi z szafki lampę oliwną, którą szybko zapalił i precyzyjnie się na strych, następnie podał rękę kuzynowi, aby mógł się precyzyjnie.

Po kolejnych chwilach stękania i ciągnięcia ręki Ottona obaj znaleźli się na strychu, oświetlanym jedynie przez światło dobiegające z wydrążonej wyrwy oraz silny blask lampy naftowej. Obaj rozglądali się po strychu. Dach, który ledwo było widać z warstw kurzu, podtrzymywany był przez szereg spróchniałych belek, które tak pokryte były pajęczynami, że bardziej przypominały szpule z włóczką. Podłoga też była pokryta kurzem, i to tak głębokim, że buty Wilhelma i stopy Ottona pozostawiały widoczny ślad. Przy jednej z węższych ścian strychu znajdował się niewielki podest, na którym, co wywołało przerażenie obu mężczyzn, widniał wielki, satanistyczny pentagram i jakieś zapisy wyryte w drewnie w języku, którego nie znali. Otton przyglądał się temu, szepcząc pod nosem modlitwę, jednak po chwili zwrócił się do Wilhelma:

- To język starożytnych Łużyczan, którym jednak nie władam. Musiały mieć tu miejsce jakieś bałwochwalskie rytuały.

Wilhelm pokiwał głową ze zrozumieniem, po czym nagle go zamurowało. Przyciszył głos do szeptu i przerażeniem w głosie zwrócił się do Ottona:

- Kuzynie?

- Hm?- odburknął, cały czas przyglądając się inskrypcjom.

Wilhelm, nie odwracając głowy od znaleziska zwrócił się do niego jeszcze raz:

- Widzisz t...

- Te inskrypcje na podeście? One są skropione zaschniętą krwią i to kilkoma warstwami, cokolwiek tu się działo miało miejsce za sprawą poświęcenia ludzkiego życia...

Wilhelm trącił butem swojego kuzyna, po czym kontynuował przerwana myśl:

- Pod ścianami strychu... Te pomniki... Co u licha?!

Otto spojrzał w opisywaną przez kuzyna stronę i zamarł.





Do tej pory tego nie zauważyli, ponieważ zlewały się one z szaroburą szatą strychu, jednak teraz byli oni w stanie spostrzec, że pod ścianami w kilku rzędach, po kilkadziesiąt postaci znajdowały się kamienne posągi ludzi, w różnych stadiach rozwoju, od młodzieńców do starców, ubranych w kaptury i habity, klęczących przed podestem. Pomniki te prezentowały przerażająco dobrze przedstawione ludzkie sylwetki i oblicza. Każda ze statui miała osobne rysy twarzy, włosy, zarost lub w przypadku kobiecych postaci- fryzurę. Ta armia milczących kamieni stała zwrócona twarzami do podestu, a ich oczy i usta były zamrożone w kunszcie rzeźbiarza. Otton z podziwem i niepokojem podziwiał tę gromadę, a Wilhelm cały czas dzierżąc krucyfiks, podszedł, aby obejrzeć rzeźby z bliska. Krocząc w kurzu, podszedł do najbliższego pomnika – starca z zaniedbanym wąsem i blizną pod okiem- i przyłożył kciuk do jego kaptura. Zdziwiło go to... to nie był kamień, rzeźby były ubrane w prawdziwe habity. Szarawą barwę rzeźb stanowiła niewyobrażalnie gruba warstwa kurzu i pyłu. Z ciekawości przetarł też kurz z nosa pomnika i... z przerażenia aż upadł na podłogę i zaczął panicznie pełznąć w stronę podestu, krzykiem zwracając uwagę klęczącego nad pismem Ottona, który z udzielającym się mu strachem spytał:

- Co jest?! Co ci?!

- Te... te rzeźby!!!- odpowiedział, łapiąc oddech Wilhelm. Siedział teraz na ziemi, opierał się o podest i celował krzyżem w rzędy posągów.

- Co z nimi?

- To nie są rzeźby, Ottonie! To ludzie! Wyglądają jak rzeźby, ponieważ osadzał się na nich kurz... Muszą tu tkwić bez ruchu co najwyżej...

Tu spojrział jeszcze raz na inskrypcję na podeście, po czym kontynuował:

- 350 lat...

Otton popatrzył na Wilhelma z dzikim przerażeniem. Mężczyzna słyszał gwałtowne bicie serca, zarówno swojego jak i swego kuzyna. Spoconego i zdyszanego Ottona obieżyły potworne dreszcze, aż upuścił trzymaną przez siebie świecę, która upadła w sam środek wrytego pentagramu. Nagle lampa naftowa zgasła. Krew, którą oblana była inskrypcja, przeszła do formy płynnej, zabulgowała i rozświetliła cały strych jasnoczerwonym blaskiem.

Strych zaczął drżeć, a z posągów opadł kurz. Do światła stworzonego przez to nadnaturalne zjawisko, dołączyło czerwone, palące światło wydobywające się z oczu klęczących ludzi. Ich głowy jednocześnie poruszyły się do góry, a ich skóra zaczęła kawałkami odpadać, ukazując mięśnie i tkankę. Tryskając krwią z twarzy, ludzie w habitach zaczęli przytłumionymi, chrapliwymi głosami skandować: „Vivat hircus niger et ineffabilis gloria magni regni”.

Wilhelm w panice dobiegł do wyrwy w podłodze, jednak z przerażenia nie mógł się ruszyć, stał jak wryty i próbował zaciskać oczy i wmówić sobie, że to wszystko jest jedynie snem, z którego się wybudzi. Otton stał na podeście i w panice ruszając głową, wpatrywał się w ścianę, odwrócony plecami do Wilhelma. W pewnym momencie jego głowa obróciła się o 180 stopni i jakby przez mgłę zaczął skandować to, co inne zgromadzone w sali upiory. Nagle, pojawił się... cień, o którym mówił Otton i który Wilhelm dojrzał kątem oka w swojej komnacie. Była to kobieca postać, z chorobliwie bladą skórą, białymi kulami zamiast oczu i kruczoczarnymi włosami opadającymi do ramion. Nad uszami wyrastało jej potężne, jelenie poroże, które ledwo mieściło się pod dachem.

Ubrana była w czarną suknię, do której przyszyte były ciemnozielone pasma, które falowały jak na wietrze. Gdy tylko się pojawiła, temperatura spadła jeszcze bardziej. Zgromadzone, poubierane w habity upiory pochyliły się czołem do ziemi, cały czas skandując te same osiem słów. Głowa Ottona znów się obróciła z głośnym zgrzytem i teraz wpatrywał się tępo w Potkrovlje, która zacisnęła szponiaste dłonie na jego ramionach. Gdy tylko białe dłonie dotknęły mężczyznę, jego głowa zaczęła pękać w świetlistej, oślepiającej pajęczynie.

Nagle cały strych ogarnął oślepiający błysk, a gdy światło wróciło do normy, na miejscu Ottona świeciła pustka. Natomiast obok Wilhelma pojawił się nowy upiór w habicie o twarzy jego kuzyna. Potkrovlje uniosła głowę do sklepienia, po czym spostrzegła Wilhelma, który tak bardzo się bał, że nie mógł nawet krzyknąć, natomiast demon zaczął powoli sunąć w jego stronę. Siłował się z każdym mięśniem odpowiedzialnym za krzyk, bieg bądź cokolwiek. W końcu udało mu się zamknąć oczy i skierować w stronę złego ducha krucyfiks, cały czas ściskany w prawej ręce. Nie widział już nic, jednak usłyszał głośny krzyk, stanowiący połączenie krzyku kobiety i ryku jelenia, poczuł, jak zamek drży w fundamentach. Nagle odzyskał czucie w ciele i czuł, jak po plecach spływa mu krwawy pot. Otworzył oczy. Upiory w rzędach zamilkły, jednak cały czas pozostawały na swoich miejscach.

Potkrovlje cały czas sunęła w jego stronę, jednak co chwilę słaniała się przed krzyżem. Wilhelm z nieznaną dotychczas siłą podbiegł do dziury wydrążonej w posadzce i wskoczył do komnaty Ottona. Niemal wywracając się wybiegł na korytarz, po czym zbiegł ze schodów, i nie odwracając się, wybiegł na dziedziniec. Krzycząc ile sił w płucach i łapiąc w biegu równowagę, opuścił zamek i schował się za rosnącą przed podjazdem sosną, skąd widział, jak z dachu zamku strzelają w niebo czerwone płomienie. Czuł, jak u posad drży wzgórze i widział jak wałęsają się wieże i mury zamku, a następnie cała budowla zapada się pod ziemię. Została tylko brama.

Nie wierząc w to, co się właśnie wydarzyło, Wilhelm zbiegł na przełaj ze wzgórze do Preszburga, bojąc się każdego szumu i szmeru, próbując wymazać ze swojej pamięci zajścia z zamku. W końcu przed nim wyrosły kolorowe budynki z cegły, marmuru i czerwonych dachówek – Preszбург. Biegając niczym wilk ścigany przez myśliwych, powoli dochodził do siebie, jednak cały czas drżał. W końcu dopadł do nadrzecznej dzielnicy miasta, gdzie jego oczom ukazało się możliwe zbawienie –zakotwiczone przy bulwarze parowiec rzeczny i dwóch żeglarzy pijących wódkę przy ognisku. Biegający jak oszalały, przerażony, elegancko ubrany mężczyzna w środku nocy musiał wyglądać co najmniej jak wariat. Dopadł on do brzegu rzeki i padł tuż przy wielkim kole łopatkowym statku i zaczął jak smok chleptać wodę. Po chwili wstał, próbował strzepać błoto z nogawek, co mu się nie udało, poprawił kołnierz i łapiąc oddech, wciąż drżącym głosem zwrócił się do marynarzy:

- Płyną może, szanowni panowie, do Wiednia?

Jeden z nich wypluł łyk wódki na trawę i zachrypłym, zmęczonym głosem odpowiedział:

- A no płyniem, ino zależy z kim.

- Dam wam... 5 tysięcy koron na was dwóch.

Żeglarzom zaświeciły się oczy. Drugi z nich, nieco miłszym od kolegi tonem dopytał:

- Teraz?

- Nie, ale jak dołyniemy t...

- Aaaaa to spadaj pan, głowy nie zawracaj.

Wilhelm chwilę podrapał się po głowie i ze zrezygnowaniem odrzekł:

- Słuchajcie no, panowie, mieszkam w dużym, białym domu pod numerem 34 na Franz Karol Platz, jeżeli nie wypłacę wam tych pieniędzy do... pięciu dni od naszego przybycia, możecie na mnie nastać komornika i policmajstrów.

Dwóch mężczyzn chwilę pomiędzy sobą podyskutowało, po czym jeden z nich wyszedł z dopełnieniem oferty:

- Dołożysz pan jeszcze skrzynkę wódki i umowa stoi.

- Z chęcią!

Dwaj mężczyźni zarechotali, po czym drugi gestem zaprosił go do wejścia na statek. Na pokładzie Wilhelm spotkał jeszcze trzy osoby, jednak wkrótce znalazł sobie miejsce na stercie węgla. Kawałki czarnego złota uwierały go w plecy, jednak po wydarzeniach dzisiejszego dnia, nie znał wygodniejszego łóżka. Cały czas walcząc z wizjami z zamku, próbował zasnąć. Gdy mu się to w końcu udało, spał twardo, jak jeszcze nigdy dotąd, a gdy się obudził, słońce było już w zenicie, a parowiec młócił już fale błękitnego Dunaju łopatkami swoich dwóch, wielkich kół napędowych.

\*\*\*\*\*

Co było dalej? Cóż... Wilhelm, nigdy nie zapomniał o traumatycznych przeżyciach z Preszurskiego zamku, jednak wrócił do nauczania na uniwersytecie Wiedeńskim i do spokojnego życia u boku swojej małżonki. Dwaj marynarze otrzymali swoje należyte dziesięć tysięcy koron i skrzynkę wódki, która w tajemniczych okolicznościach zniknęła tego samego dnia. Natomiast po zamku zaginął ślad. Wzgórze, gdzie miały miejsce legendarne wydarzenia opowiadane z dziwną pewnością i dbałością o szczegóły przez Wilhelma na salonach, stało się miejscem budowy nowych domów. Z czasem przeminęły Austro-Węgry, Preszburg stał się Bratysławą i niemieckojęzyczna legenda straciła na znaczeniu. Jednak według Słowaków tam, gdzie stało zamczysko, po nocach słychać przytłumione krzyki i wycie dobiegające spod ziemi.

